ROK PIĄTY.

№ 53.

WARSZAWA

d. 18 (30) grudnia

1860.

REDAKCYA

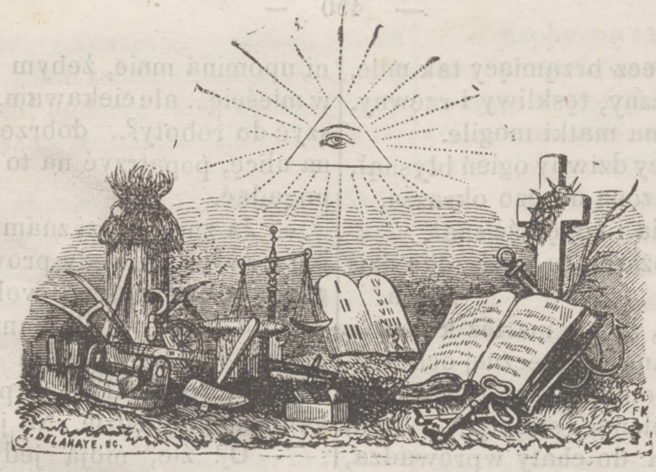
CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA

po Narodzeniu Chrystusa Pana



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Na to ci Bóg dał dostatek, aby drugi przez ciebie nie żebrał. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Gwiazdka, czyli Gość Boży.

Mój Boże kochany! tak miło dziś wszędy,
I chwila każdemu tak czysto ucieka:
Wieś cała się pieśnią rozlega kolędy,
I każdą twarz szczęścia rumieniec obleka.
Oj! lubaż to piosnka!.. rozkoszny rumieniec
I uczta wesoła na każdym dziś stole,
Gdy dziatwy ochoczej okoli go wieniec,
A starcy zasiędą w radosnem tem kole.
I w całej tej wiosce, my tylko dziś jedni
Witamy ten wieczór westchnieniem tęsknoty,
Na łonie dostatków cierpiący i biedni,
W dniach późnej starości samotne sieroty!
Ach! i nam też kiedyś kwitły hoże dziatki,
Co z nami tę ucztę podzielały świętą,
Lecz śmierć nam skosiła rozwite wpół kwiatki,
Dziś drzémią w mogiłach pod ziemią zmarzniętą!..
Więc na cóż nam mienie, obfitość, dostatek,
Gdy nie ma nikogo, by dzielił go z nami,
I biedni dziś łamiąc ten biały opłatek,
W milczeniu gorzkiemi rosimy go łzami.
Nie długo nam gościć na tym Bożym świecie,
Wnet grób nas pochłonie, dwa drzewa pochyłe!..
Gdy ziemia nam członki bezwładne przygniecie,
Nikt płakać nie przyjdzie na naszą mogiłę.
Tak ze łzą na srogie narzekając losy,
Od dziatek najdroższych opuszczony wcześnie,
Raz w wilię przemawiał starzec siwowłosy
Do żony, co także płakała boleśnie.
A słońce się zwolna spuszczało za góry,
I krótko już miało nad ziemią zawisnąć,
I tylko już patrzeć na niebie bez chmury,
Jak pierwsza gwiazdeczka ma na niem zabłysnąć.
W izdebce sprzątniono, do stołu nakryto,
A starcy ani się ruszyli z alkierza,
Napróżno stół dymi zastawą obfitą,
Oj! nie w smak im widać samotna wieczerza.
Wtem od wrót zaleci wykrzyk służby gniewnej,

I słaby głos nędzy, lecz brzmiący tak mile,
Tak czysty i dźwięczny, tęskliwy i rzewny,
Jak prośba sieroty na matki mogile.
Wnet w starca źrenicy dziwny ogień błysnął,
I twarz mu zmarszczoną uroczo okrasza,
I powstał z siedzenia i żonę uścisnął,
Patrz! mówi, najdroższa, to gwiazdka dziś nasza.
Dopierom narzekał, że nie ma też komu
Podzielić wraz z nami świątecznej ochoty,
A wszakże gość w domu, to Pan Bóg do domu,
A goście najmilsi, biedni i sieroty.
I od wrot podwórka do chaty wprowadza,
Szczęśliwy z swej myśli z twarzą uśmiechniętą,
I z sercem radośnem za własny stoł sadza
Sierotę zgłodniałą, bladą i zziębniętą.
A jeszcze za chwilę z rozjaśnionem czołem,
Gdy pierwsza gwiazdeczka zaświeciła ziemi,
Weseli szczęśliwi siedzieli za stołem,
Weseli szczęśliwi, bo Pan Bóg był z niemi.
Bo kto się nie leni do dobrego dzieła,
Nie zmoże go własnej boleści pokusa;
Bóg biednych, w gościnę Syna mu poseła,
A jakże to błogo mieć gościem Chrystusa!

Dwie przyjaciołki.

— Jagusiu! Jagusiu! nie uciekajże tak prędko, nie mogę cię dogonić, wołała młoda dziewczyna z koszykiem na ręku, za drugą odchodzącą szybkim krokiem z targu na Starem mieście.

— Ach! to ty Zuziu!.. jak się masz? i obie uściskały się serdecznie.

— Gdzieżeś ty się chowała? rzekła Agnieszka; tak dawno nie widziałyśmy się z sobą, aż mi było tęskno, nie wiedziałam, gdzie cię szukać.

— Nie służyłam w tych stronach; ale widać bardzo śpieszyłaś się do domu, bo ledwie za tobą podążyłam.

— O! nie, moja droga, dziś owszem nie mam pilnej roboty i biegnę tak tylko z przyzwyczajenia; możemy sobie porozmawiać z półgodzinki.

— Ja mogę postać choćby i więcej jak godzinę; co mi to szkodzi, że moja stara będzie gdérać? Już do tego przywykłam, iż każda pani upomina mnie, żebym się długo nie bawiła w mieście... ale ciekawam, po co się mam śpieszyć do roboty?.. dobrze przecie wyszedłszy na ulicę, popatrzyć na to i owo, albo z ludźmi pogadać.

— Ja znów, przyznam ci się, nie bardzo lubię próżne gawędy prowadzić, a tem mniej gapić się po mieście; wolę sama wracać prędko do domu, i moja pani nigdy mnie o to nie upomina. Dziś powiem pani, że spotkałam dawną przyjaciółkę, a pewna jestem, że się gniewać nie będzie. No jakże ci się powodzi?

— Oj! źle, moja jedyna. Już oto przeszło dwa lata, jakeśmy razem przyszły do Warszawy z Zalesia, a ja dotąd ani jednego miejsca dobrego nie znalazłam. Zmieniam prawie co kwartał, a czasem i częściej i ani weź dostać się w poczciwą służbę; a jakże tobie?

— Ja ciągle jestem w jednem miejscu, u tej samej pani, którąś widziała, jak mnie zgodziła za 20 zł. na kwartał. Teraz już biorę dwa dukaty i oporządziłam się jakotako. Roboty u nas, co prawda nie brakuje, dzieci pięcioro, trzeba się zwijać, ale państwo dobrzy, rzetelni i takem się jakoś przyzwyczaiła, że ani pomyślę o zmianie służby.

— Ale mogłabyś dostać większe zasługi. Ja już brałam po siedm i ośm talarów, tylko że to człowieka zawsze te przenosiny kosztują dosyć, a co gorsza, że wszędzie wytrącają szkody, to i trudno sobie co sprawić, tylko prawie na trzewiki służyć trzeba.

— Ja się tam nie łaszczę na duże zasługi, wolę mniejsze, a pewne. Moja pani jeszcze mi ani grosza nie wytrąciła, a taka o mnie troskliwa!.. sama mi wszystko kupuje, sama skroi i pokaże jak uszyć, czasem da jakiś prezencik, i Bogu dzięki jużem przyszła do porządnej pościeli i kilku sukienek.

— O mój Boże! żebym to ja na taką panią trafiła, ale gdzie tam!.. żadna o mnie nie dba.

— Ale bo widzisz moja Zuziu, kiedy co kwartał zmieniasz służbę, to się żadna pani nie może do ciebie przywiązać; na przychylność pani trzeba zasłużyć własną dla jej domu przychylnością. Ja mówię, że mi pani nic nie wytrąca, lecz ja się strzegę jak mogę, żeby szkody nie robić. Kupując w mieście, szukam gdzie najtaniej, w kuchni oszczędzam drzewa i świecy, bo przecie czuję, że to wszy-

stko dosyć państwa kosztuje; państwo też za to, gdy przypadkiem zrobię szkodę, boć to się zdarzy każdemu, upomną mnie tylko, żebym była uważniejszą, ja przeproszę i na tem się skończy.

— Gadaj co chcesz, już ja widzę, że twoja służba dobra, ja na taką trafić nie mogę. Służyłam u rzemieślników, to praca ciężka: dźwigaj ogromne garnki, opieraj terminatorów a śpiesz się, żeby był obiad na swoję godzinę; poszłam do urzędników, to znów grymasy, froterka, prasowanie. Pan Bóg wie co za wymysły! Byłam za kucharkę, nie mogłam dogodzić w gotowaniu; za młodszą, to rąk od prania i żelaza nie czułam; nareszcie myślę sobie: postaram się do jednej pani, to mi przecie będzie dobrze. Stara Jakóbowa, wiesz? ciotka mojej nieboszki matki nastręczyła mi tę teraźniejszą służbę. Ach! powiadam ci, co to za nudy! już nie wiem, jak wytrzymam do kwartału. Jedna kobieta, a cały dzień jest koło niej co robić. Zaglądа po wszystkich kątach, a niech Bóg broni, jak zobaczy co nieczystego. W prasowaniu taka grymaśna! ha! ha! ha!.. ale też zato jak zacznę wyciągać jej haftowane kołnierzyki i czepeczki, to nie żałuję, drę bez miłosierdzia i bawi mię to, jak się potem złości... taka śmieszna!.. ha! ha! ha!

—Moja Zuziu, rzekła, uśmiechając się Agnieszka, nie gniewaj się, ale ci powiem otwarcie, co myślę. Z twojej mowy poznaję, iż z własnej winy w żadnej służbie długo być nie możesz; boisz się widać roboty i niechętnie pełnisz twe obowiązki.

— Jużcić co prawda, to prawda; służę, bo muszę, ale tego nie powiem, żebym miała lubić robotę, i tak ręka narobiona i twarda, to jakoś nie miło podawać ją kawalerowi w tańcu.

— To ty chodzisz na tańce? zapytała zdziwiona Agnieszka; dlatego też trzewiki tak dużo cię kosztują.

— Cóż robić? prawda, że trzewiki i suknie odpowiadają nieźle, ale przynajmniej co się człowiek ubawi, to ubawi. A ty nie tańcujesz wcale?

— Owszem, tańczyłam dwa razy na weselach moich znajomych dziewcząt: pani dała mi kwiatki do włosów i wstążki na kokardę, ale na salę nie chodzę, bo i ja sama wstydziłabym się tam tańczyć i pani nigdyby mi na to nie pozwoliła.

— Ktoby się tam pani pytał o pozwolenie? to tylko ty taka skrupulatka. Ale powiedzże mi moja droga, gdzież poznać kawalerów, jeżeli nie na sali? a przecie każdej dziewczynie trzeba iść za mąż.

— Jak Bóg ma dać dobrego męża, to się znajdzie i bez sali; ale ty przecie zostawiłaś na wsi narzeczonego i mieliście tylko każde ze swej strony uciułać trochę grosza na zagospodarowanie, a potem się pobrać.

— Ha, ha, ha! zawołała, śmiejąc się Zuzanna, tobie się przypomniał Antoni kowal. Prawda, obiecałam mu wrócić, bom wówczas Warszawy nie znała; on nieborak ciągle sobie tem głowę zawraca, zbiera pieniądze, pracując za czeladnika i myśli, że jak sobie założy własną kuźnię, to zaraz będzie miał ze mnie gotową gospodynię. Był tu niedawno w Warszawie. Cóż mi szkodzi podurzyć go jeszcze trochę? ale na prawdę wcale o nim nie myślę. Ha, ha, ha! jabym miała pójść za zasmolonego kowala i prać mu koszule, kiedy tu w Warszawie jak mrówia ładnych chłopców, dworskich elegantów, wymuskanych, wyperfumowanych, aż miło spojrzeć!

—Moja Zuziu, prawda, że Antoni w roboczy dzień zasmolony, ale jak przy niedzieli ubierze się do kościoła, to z niego bardzo przystojny chłopak, rzekła, lekko rumieniąc się Agnieszka; a jaki pobożny i pracowity, będzie on pewno dobrym mężem. Wymuskani kawalerowie na nic ci się nie przydadzą, to tylko bałamuctwo, a choćbyś i poszła za którego, to z nich rzadko żony mają pociechę. Jak cię kocham, ja ci z serca dobrze radzę; ustatkuj się, staraj się zostać dłużej w jednem miejscu, a zobaczysz, że państwo będą dla ciebie tak dobrzy, jak moi dla mnie. Oj, alem się już za długo zagadała; bądź zdrowa moja kochana.

Z tej rozmowy mogliście poznać dokładnie sposób myślenia dwóch przyjaciółek. Rady rozsądnej Jagusi nie skutkowały bynajmniej. Płocha i leniwa Zuzia przechodziła ze służby do służby, z każdej niezadowolona, bo żadnej pani dobrze się nie zasłużyła, pocieszała się tylko tańcem i spacerami. I tak jej zeszło znów parę lat. W tym czasie dowiedziała się, że p. Stanisław owdowiały od kilku miesięcy, potrzebuje służącej. Otóż to służba dla mnie! powiedziała sobie, nie będę miała pani, która-

by mi zrzędziła nad uszami, będę sama rządzić i robić jak mi się podoba.

Zapłaciła dobrze znanej kobiecie, aby ją zachwaliła, jako porządną i zdatną kucharkę i z radością objęła swój nowy obowiązek.

Tu zaszła nagła i dziwna zmiana w jej postępowaniu; starała się smacznie przyrządzać obiad, pokoje i kuchnię utrzymywała w porządku, pilnowała domu i dzieci, aż się znajomi dziwili, zkąd jej przyszła taka poprawa. Powiem wam, z jakiej to było przyczyny.

Zosia była ładną dziewczyną, i aż nadto dobrze znała to do siebie; uroiła sobie, że p. Stanisław zwróci uwagę na jej czarne oczy i rumianą twarzyczkę, a gdy obok tego będzie w niej widział przymioty dobrej gospodyni, może się z nią ożenić; wtedy dopiero będzie mogła stroić się i próżnować dowoli.

Pan Stanisław oceniając jej gorliwą służbę, wynagradzał ją często jakimś podarunkiem, co ją jeszcze mocniej utwierdzało w niedorzecznych nadziejach.

Tak znów ubiegło kilka miesięcy. Tymczasem Antoni pracując usilnie, zebrał nareszcie kwotę potrzebną na założenie własnej kuźni i przeniósł się do sąsiedniej wioski, położonej przy bitym trakcie, gdzie mógł się spodziewać dobrego zarobku. Wziął tymczasowo do siebie swą owdowiałą bratowę do prowadzenia gospodarstwa, przyjął zdatnego i poczciwego czeladnika, a poleciwszy dom opiece Bożej, wybrał się do Warszawy.

W ciągu kilkoletniego pobytu Zuzi w tem mieście dwa razy ją tylko widział, bo żałował czasu tracić na podróże, a w czasie tego krótkiego widzenia się, niepoczciwa dziewczyna nie odbierała mu nadziei połączenia się z nim, owszem wesoło rozmawiała o przyszłem ich gospodarstwie, szydząc w duszy z łatwowierności poczciwego człowieka.

O prowadzeniu się Zuzanny Antoni nic nie wiedział; miała ona dopiero lat siedmnaście, gdy poszła do Warszawy, nie dostrzegł wtedy jeszcze płochości jej charakteru i lenistwa, które się w późniejszych latach rozwinęły.

Przez sąsiadów jeżdżących do miasta dowiadywał się tylko o jej zdrowie, a gdy miał o niem zaspakajające wiadomości, przestawał na tem i czekał spokojnie, aż się o tyle zagospodaruje, aby miał gdzie wprowadzić żonę i mógł pochlubić się przed nią owocem własnej pracy, do której otuchę czerpał w swem szczerem do niej przywiązaniu.

Ani mu przez myśl nie przeszło, żeby Zuzia zmienić się miała. Sądził o niej według swego prawego charakteru i z bijącem sercem myślał sobie w drodze do Warszawy o radości, jaką sprawi swej ukochanej, gdy jej powie, że ma domek gotowy na jej przyjęcie, porządne sprzęciki, dwie krówki w oborze, wieprzaka w chlewku i paręset złotych gotówki. Nie wiedział biedak, jakie zamiary snują się w tejże chwili po głowie jego narzeczonej, ani jak z góry spojrzy panna Zuzanna na biednego kowala. Przybywszy do Warszawy Antoni, dopytał się najpierwej do starej Jakóbowej i tej jako babce Zuzanny, oświadczył stanowczo swój zamiar pojęcia za żonę jej wnuczki, prosząc przytem, aby z nim razem pójść do niej zechciała.

Staruszka mile przyjęła te oświadczyny, jednak nie mogła się wstrzymać od wypowiedzenia potrosze kowalowi, co miała na sercu.

— Mojać to krewniaczka, ale muszę przyznać, że jej trochę pstro w głowie, lubi się trzpiotać i tańcować, a przez to z żadną panią zgodzić się nie może; aleć to jeszcze młode... mam w Bogu nadzieję, że jak za was pójdzie mój Antoni, to się ustatkuje i tańce jej z głowy wywietrzeją.

Kowalowi jakoś smutno się zrobiło na te słowa i z niepokojem wewnętrznym zastukał do drzwi Zuzanny. Ta właśnie w tej chwili stojąc przed zwierciadłem, przymierzała salopy z futrem, którą jej pan kazał przewietrzyć. Ze śmiechem przyjęła babkę i Antoniego, ale wysłuchawszy jego serdecznych oświadczeń i widząc, że go dłużej zwodzić nie może, zrobiła kwaśną minę i wręcz odpowiedziała, że nie chce być jego żoną, bo musiałaby za nim ciężko pracować, a ona właśnie pragnie za mężem użyć wygód i odpocząć po pracy.

Zgromiła ją surowo babka za tę nierozsądną mowę, przekładała, że nigdy nie znajdzie lepszego męża od tego, który jej przez tyle lat stałym pozostał; wszystko nic nie pomogło.

Ze ściśnionem sercem i spuszczoną głową wracał kowal, a obok niego idąc staruszka, mruczała ciągle z oburzeniem: o wietrznica! bałamutka! tyle lat durzyć poczciwego człowieka, a potem porzucić... tegom się jednak

po niej nie spodziewała... W tem na zakręcie ulicy postrzegła Agnieszkę idącą szybkim krokiem bez oglądania się po bokach.

— Jagulku! Jagulku! a przywitajże się ze mną, to zobaczysz zaraz i dawnego znajomego; oto pan Antoni! teraz już porządny majster.

Agnieszka uprzejmie pozdrowiła staruszkę i z niejakiem pomieszaniem powinszowała kowalowi dobrego powodzenia, a wymawiając się pilną robotą, odeszła w swoję stronę.

— Oj, to mi perła dziewcząt, rzekła Jakóbowa, patrząc za odchodzącą. Gdyby ten trzpiot Zuźka miała tyle statku i rozumu co ona, toby była nie odrzuciła twej poczciwej ręki i serca. A wiesz ty mój Antosiu?.. ona te pięć lat w jednem miejscu przesłużyła, choć ma pracę co się zowie; na żadnej sali, ani w szynku noga jej nie postanie. Będzie z niej kiedyś porządna gospodyni.. Ot, wiesz co mój Antoni, może też tak Bóg zdarzył, żeśmy ją spotkali. Przyjechałeś po żonę do Warszawy, jabym ci poradziła wziąć tę zamiast tamtej; choć tamta moja wnuczka, trzeba jednak wyznać prawdę, wygrałbyś na zamianie.

— Prawda, moja Jakóbowa, że mi żona potrzebna, ale to jakoś trudno wyperswadować sobie tę, do której przez lat tyle chowałem w sercu przywiązanie, a któż to wie, może ja już taki nieszczęśliwy, że i taby mnie nie chciała?

— Ha, chybaby już miała innego... Ale wszakże dopiero za cztery dni ma wyjechać ten furman, z którym macie zabrać się do domu, to ja mam dość czasu wyrozumieć Jagusię.

—A, to już róbcie jak chcecie, wiem, żeście mi życzliwi, toćbyście mi złej żony nie radzili; ja sam nawet pamiętam, że Jagusia już z małego była spokojną i pracowitą dziewczyną. Jeżeli taka wola Boska, to się może i pobierzemy; ja oto wstąpię do kościoła i pomodlę się serdecznie, żeby mi ten ciężki żal spadł z serca i żebym mógł zapomnieć o tamtej.

Jakóbowa żwawo wdała się w swaty, Jagusia jednak o niczem słuchać nie chciała wprzódy, aż z własnych ust Zuzi usłyszała, że ta zupełnie wyrzeka się kowala. Antoni pozostał na dłużej w Warszawie, przyjął tymczasem robotę u jednego fabrykanta powozów, a po trzech miesiącach poznawszy gruntownie poczciwe serce Agnieszki, wyznał jej, biorąc Boga na świadka, że ją szczerze i prawdziwie pokochał; wtedy i ona przyznała się, że jeszcze w Zalesiu miała ku niemu życzliwe uczucie, ale widząc, że on miłuje Zuzię, ukryła je w głębi serca.

Państwo Jagusi, choć nie bardzo zamożni, wyprawili jej skromne ale uczciwe wesele. Starsza panienka była jej druchną, a pani jak by rodzona matka ze łzami ją ściskała i błogosławiła.

Po dwóch latach najszczęśliwszego pożycia, Antoniowie wzięli do siebie starą Jakóbowę, szanują ją jak matkę, zawdzięczając jej szczęśliwe swaty, a dobra kobiecina lubi rozpowiadać młodym dziewczętom, szczególniej też tym, które się wybierają na służbę, jak to zachowywała się Antoniowa, będąc młodą i jak jej za to Bóg wynagrodził.

Pan Stanisław ożeniwszy się powtórnie, przyjął inną sługę, bo młoda pani, Zuzanny trzymać nie chciała; odtąd jeszcze jej trudniej dobrać sobie miejsca, bo coraz więcej nabiera złych nałogów. Żaden porządny człowiek nie pomyślał o niej na żonę, a wymuskani dworusy opuścili ją, gdy jej uroda i młodość minęła.

Stanisław Nałęcz Małachowski.

Jeśli się z was komu mili czytelnicy, zdarzy być w kościele farnym Śgo Jana w Warszawie, niech dobrze obejrzy wszystkie w nim pamiątki. Są tam portrety i pomniki królów, książąt, arcybiskupów, sławnych wojowników i uczonych ludzi; ale najpiękniejszym ze wszystkich jest pomnik Stanisława Małachowskiego.

Stanisław Nałęcz Małachowski urodził się w roku 1736, z ojca Jana kanclerza W. koronego i matki Anny Humieckiej wojewodzianki podolskiej. Swiadek i uczestnik wielkich przemian w kraju, był wzorem nieskalanych cnót człowieka i obywatela. Pierwsze zasługi położył na urzędach sądowych. Jako nieskażony sędzia i prawego charakteru mąż stanu piastował z chwałą ten urząd we wszystkich jego stopniach, aż doszedł nareszcie najwyższego zaszczytu w krajowym trybunale. Był on tak sprawiedliwym w wydawaniu wyroków, iż poróżnieni biegli do niego szukać końca długich i zaciętych sporów, oddając los

majątków swoich sumieniu jednego człowieka. Stawał wtenczas pomiędzy nimi Małachowski już nie jako surowy sędzia, lecz jako łagodny pośrednik i przyjaciel ludzkości; godził powaśnionych, radził, przekładał i często własnym majątkiem wynagradzał pokrzywdzonych. Dziedzicem będąc obszernych włości, stał się ojcem poddanych swoich; on pierwszy dał przykład obdarzenia włościan swobodą, rozsądzał zachodzące między nimi spory i każdy dzień dobrodziejstwami naznaczał. Stanislaw August król polski powierzył mu zarząd włościan dóbr królewskich z urzędem Referendarza koronnego (*), a naród powszechnym głosem nadał mu miano *Przyjaciela ludu.*

Kiedy w roku 1788 zebrał się sejm, jednogłośnie powołano Małachowskiego na marszałka sejmu. Kraj cały przyklasnął radośnie wyborowi tak mądrego i cnotliwego człowieka. Zaszczyt tego sejmu w uchwaleniu tylu ważnych ustaw, w zniesieniu wiekami zakorzenionych błędów i przesądów, należy się głównie Małachowskiemu.

W roku 1806 Małachowskiemu powierzono naczelnictwo w Komissyi rządowej, a po ustanowieniu księstwa Warszawskiego, Fryderyk August król Saski, książe Warszawski, oddał mu pierwsze dostojeństwo w senacie. Na tym stopniu nowym czynem dowiódł przywiązania do publicznego dobra. Brak soli w Królestwie czuć się dawał, a skarb tak był wycieńczony, że nie mógł gotówką za takową płacić. Małachowski cały swój majątek oddał w zakład uiszczenia się na czas oznaczony i tym sposobem zapobiegł nieszczęściu.

Do najszlachetniejszych czynów Małachowskiego przydać należy, iż gdy sejm pod jego stérem obradujący miasta podźwignął, on pierwszy w księgę miejską zapisał się na *mieszczanina* i szczególniejszą opieką mieszkańców miast i miasteczek wspierać usiłował. Całe życie zaś myślał najwięcej nad uszczęśliwieniem i polepszeniem bytu włościan i w testamencie zapisał znaczne fundusze na pożyczki dla podupadłych rolników, na dostarczenie lekarstw dla chorych i utrzymanie lekarzy.

Umarł ten zacny człowiek dnia 29 grudnia 1809 r. Wieczny spokój jego duszy!

(*) Pierwszy minister.

O podaniach ludowych.

IX.

Każdy niezwykły wypadek, każde pamiętne lub cudowne zdarzenie, przechowa się wiernie w pamięci i uściech ludu; znikły pamiątki piśmienne, zniszczył je czas lub zła wola, podanie samo żyje i przechodząc z pokolenia w pokolenie, staje się dla każdego takiego wypadku trwałym pomnikiem, hołdem wdzięczności i chwały, lub pamiątką przekleństwa i ohydy, zawsze zaś nauką i przestrogą.

Z ust ludu czerpią je jako z bogatego źródła piewcy nasi i w ozdobniejszej osnowie rozpowszechniają po szerokim świecie, odkrywając owe niewyczerpane źródło poezyi żyjące w piersiach naszych wieśniaków. Piewcy czyli poeci dzisiejsi, objąwszy tym sposobem puściznę po dawnych śpiewakach i lirnikach wioskowych, oddają niesłychane usługi nietylko piśmiennictwu krajowemu, wzbogacając je nieznanemi mu dawniej skarbami, ale nadto zbliżają niejako i wiążą z sobą rozmaite stany i rozmaite okolice polskiej krainy. Bo poznać śpiewy, podania, zwyczaje pewnej okolicy, jest to niejako zbliżyć się do niej i dzielić jej życie. Widząc zaś w nich odbicie własnych pojęć i wyobrażeń, własnego współczucia lub nienawiści, serca mimowolnie roztwierają się pod wpływem podobnych wrażeń, jak kwiat pod ciepłemi promieniami słońca, i miłość dla współziomków, jak ożywcza rosa ciśnie się do serca.

To też lud nasz serdecznie zawsze miłował śpiewaków i lirników swoich; ztąd w prostej wyobraźni mieszał ich nieraz z ptakami, śpiewakami pól i lasów przez siebie zamieszkałych. W wielu nawet okolicach pomieszane to pojęcie przechodząc w podaniach przez liczne pokolenia, nabyło pewnego rodzaju wiary w baśń o chwilowem przechodzeniu duszy śpiewaka w rozmaite śpiewające ptastwo, aby miała czas w tej nowej postaci otęsknić się za ziemią i ludźmi, dla których za życia

cudne swe pieśni nuciła. Tam, zabić śpiewającą ptaszynę, uważanoby za świętokradztwo, za bratobójstwo niemal, bo *jak baśń naucza*, może pod temi szaremi piórkami ukrywa się dusza brata lirnika, co niedawno zmarły, nuci jeszcze pieśń pożegnania ponad rodzinną swą wioską.

Podanie to, a raczej baśń tę ludową wypowiedziała p. Marja Ilnicka w prześlicznym poniższym wierszyku, pod tytułem *Ptaszki nasze:*

Pomiędzy ludem krąży *baśń* taka:
Że kiedy lirnik umiera światu,
Za nim do chwały swej majestatu
Bóg raczy przyjąć duszę śpiewaka,
Musi w postaci ptaka, rok jeszcze
Rozwodzić ziemi pieśni swe wieszcze.
O biedne dusze! gdy ciała brzemię
W cichą mogiłę ciemną złożycie,
Z jakiemi skrzydły znów powrócicie
Na tę, ubiegłych pamiątek ziemię?
Jak powrócicie, szare skowronki
Wiecznie nad wiejską krążące niwą,
Których głos, niby kościelne dzwonki
Budzi do pracy ludzkość leniwą,
I w niespokojnej jakiejś tęsknicy
Brzmi między niebem, a ziemią bratnią?
Może to, może, wy pokutnicy,
Co nam śpiewacie piosnkę ostatnią?
Tak, wy to może, w jasną noc maju
Ziemi słowicze nucicie pieśnie,
By biedni ludzie, chociaż raz we śnie
Do straconego wrócili raju.
A gdy dziewczyna płacze kochanka,
Którego traci dolą okrutną,
Wy w pogodnego ciszę poranka
Głosem kukułki cieszycie smutną.
Wy to zgłodniałym dzieciom wieśniaka
Wieszczycie wiosnę piosnką jaskółki,
I na błękitne fale rzeczułki
Wzywacie małą łódkę rybaka;
A zimą w szarych wróbli postaci
Koło słomianej krążycie strzechy,
I dzwoniąc tęskną piosnkę pociechy,
Męztwa w złej chwili uczycie braci.

Czy więc ta lub inna przyczyna, dość na tem, że śpiewające ptastwo jest przedmiotem szczególnego przywiązania u naszego ludu wiejskiego. Znaną jest powszechnie powtarzana *pieśń oracza do skowronka* nucącego mu nad głową w czasie znojnej pracy, jakby na podziękowanie ptaszynie za współczucie i osłodę rolniczych trudów:

Już śpiewasz skowroneczku, już i ja też orzę,
Obojgu nam przy pracy jedno świeci zorze;
Bóg pomóż skowroneczku i dodaj nadzieję,
Bo dla siebie ja razem i dla ciebie sieję! i t. d.

Nie żałuje więc chłopek nasz garści ziarna dla niebieskich śpiewaków, i to nam objaśnia, dlaczego tyle wesołego kręci się ptastwa w pobliżu wieśniaczych strzech; trudniejszem jest do wytłomaczenia przywiązanie śpiewaków tych do okolic górzystych, jałowych i płonnych, gdzie częstokroć człowiek sam nie ma co do ust włożyć. Ksiądz Karol Antoniewicz, zarazem kapłan Boży i śpiewak ludowy, którego krótki rys życia podaliśmy wam w nrze 24 Czytelni z r. z. bawiąc czas jakiś w Tatrach pomiędzy góralami Huculami, rozrzewniony był widokiem tego rodzaju ptastwa, co chociaż wychudłe i zgłodniałe, trzymało się uparcie niewdzięcznej okolicy, jak gdyby chciało dać tem przykład człowiekowi do zamiłowania ubogiej swej ziemskiej ojczyzny. Myśl tę sercem szlachetnem pojętą wyśpiewał on w następującej pieśni:

Huculska ptaszyna.

Przyleciałaś tu ptaszyno! między dzikie góry,
Chcesz przylepić twe gniazdeczko do przelotnej chmury;
Leć w doliny, leć w równiny, tam zamki i grody,
Tam są śpichrze pełne zboża i kwiatów ogrody.
Na szerokich żyznych polach już żółknieje zboże,
Tu ci ziarna biedny Hucuł posypać nie może;
Tam weselej, tam swobodniej latać tobie będzie.
Tutaj w polu jodły rosną, głaz sterczy na grzędzie,
Tutaj matka nie wyżywi i własnej dzieciny;
Leć ptaszyno w inne strony, w Podolskie równiny!
— Nie polecę, nie porzucę Huculskiej zagrody,
Bo mi milsze wasze lasy, milsze górskie wody!
Pod tą strzechą matka moja gniazdeczko zlepiła,
Jam w tej chatce z swą rodziną razem się zrodziła.
Tu mnie matka nauczyła smutną piosnkę nucić,
Ja tu z wami chcę pozostać, i z wami się smucić.
Latać będę po tych skałach, kryć się w tej głębinie,
Będę z wami w cichej nocy śpiewać w połoninie;
Dla was ja nie pożałuję do lotu skrzydełek,
Bo wiem, że wy dla mnie zdradnych nie macie sidełek;
I na cmentarz nieraz zlęcę, gdzie są wasze groby,

I na krzyżu tam usiędę, nucąc pieśń żałoby.
A więc dajcie mi umierać, tam gdziem się rodziła,
Bo ta ziemia nad świat cały i ptaszynie miła!

Od Redakcyi.

Zwyczajem przyjętym od pierwszego roku istnienia pisma naszego, podajemy niniejsze zdanie sprawy z działalności tegorocznej, oraz przedsięwziętych na przyszłość prac Redakcyi Czytelni.

Podług programatu na rok 1860 zapowiedzianego, Redakcya starała się rozpoczęte prace dalej prowadzić, a jednocześnie nowemi żywiołami, zawsze w obrębie pierwotnego prospektu, pismo swoje zasilać i rozwijać. Do rzędu pierwszych zaliczyć się dają między innemi wiadomości z gospodarstwa krajowego, życiorysy zasłużonych ludzi, oraz opis stanu dzisiejszych gospodarstw rolnych po małych miastach naszych i tam dalej; do drugich zaś należą rozpoczęte w wędrówkach po kraju opisy różnych miejscowości, zwyczajów, ubiorów, i t. p. charakterystycznych rysów ludności rozrzuconej po całej przestrzeni ziemi, dokąd mowa polska sięga. Przedmioty tego rodzaju uważaliśmy za potrzebne i użyteczne, aby ludność jednej okolicy zapoznawać z mieszkańcami drugich okolic kraju, a dla jednej i drugiej przygotowywać stąd moralne korzyści, nie dla próżnej tylko ciekawości, ale w widokach rzeczywistego dobra i z miłości ku tym licznym zastępom uboższej braci, którzy w pocie czoła uprawiają grzędę od dziada, ojca, na wnuka i prawnuka przechodzącą.

Opisy te ze szczególną starannością i w roku przyszłym podawać zamierzamy. Ale nie tylko ludność wiejska była przedmiotem naszego zajęcia; wiele obrazów, wypadków, cichych zasług, łez i radości wydobywaliśmy i z życia miejskiej roboczej ludności, zwracając uwagę na ważność gospodarstw rolnych miejskich, które równąż korzyść dla kraju przynieść mogą, a których stan dotychczasowy nie wszędzie odpowiada oczekiwaniu i życzeniom ogółu. Wykład nauki ogrodniczej prowadzony przez jednego z właścicieli ziemskich, zajmującego się oświecaniem praktycznem pod tym względem włościan swoich, z materjałów przejrzanych przez Towarzystwo Rolnicze, zdawał nam się stosownym i użytecznym tak dla ludności miejskiej, jako też i wiejskiej. Dlatego podawany dotąd w dodatkach, przy stosownem objaśnianiu nauki samej drzeworytami, i nadal znajdzie miejsce w Czytelni Niedzielnej.

Aby czytelników pisma naszego zająć wypadkami bieżącemi, mającemi łączność z gospodarstwem, życiem włościan, rzemieślników i wogóle roboczej ludności, a wiążących się z dobrem i interesem ogółu, podawaliśmy różnorodne wiadomości tego rodzaju, pod napisem *Różności.* Z wiadomości tych jedne bywały mniejszego rozmiaru, inne zaś ogólniejsze dotykały przedmiotów obchodzących kraj cały rolniczy, i te z natury swojej staną się nadal rodzajem perjodycznych sprawozdań, o tyle, iżby tym sposobem utworzyć się mógł zbiór wiadomości, z którychby się mieszkańcy pewnej okolicy zapoznawać zdołali z owocami doświadczenia swoich współbraci, w przedmiocie wspólnej im wszystkim pracy około ziemi i w warsztatach. Obrazki malujące życie, cnoty, wady, nałogi i charakter ludności wiejskiej rozpoczął w piśmie naszem, znany chlubnie w piśmienictwie ludowem autor, który żyjąc między ludem, najgłębiej może dopatrzył tajemnic serca jego, jakie się nie przed każdym otwierają. Obrazki te, oraz gawędy ludowe stanowić będą na rok przyszły ciąg pewnej całości.

Drzeworyty w roku ubiegającym dawane, były również częścią rozszerzania wewnętrznej strony Czytelni, i nadal w miarę potrzeby miejsce w niej znajdą. Wogóle zaś Redakcya, jak poprzednio, tak i na przyszłość zwróci wszystkie usiłowania swoje ku rozwijaniu wewnętrznej części pisma, rachując na przychylność i współpracownictwo ogółu, który ją dotąd tak szczodrze niemi darzy!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 18 (30) grudnia 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*